

Brzęczyk Pan

Dawno, dawno temu pewien rycerz poszedł na wojnę, a w domu zostawił żonę i jedyne syna. Niestety, zginął w straszliwej bitwie, a wdowa po nim i ukochany syn popadli w biedę. Żyli z dnia na dzień, aż któregoś razu spostrzegli, nie mają już już ani okruszka chleba.

– Mamo – rzekł chłopiec – daj mi pieniądze, najlepiej cztery rupie¹, a pójdę w świat szukać szczęścia.

1 Rupie jako nazwa pieniądza pojawiły się w Indiach w XVI wieku, w czasach Wielkich Mogołów, nazwa pochodzi od sanskryckiego *rupia* (srebro). Rupia indyjska = 16 ann w dawnym, obowiązującym do 1957 roku systemie monetarnym.



– Ach, dziecko moje – westchnęła kobieta – skąd mam wziąć cztery rupie, skoro nie mam nawet anny na kromkę chleba?

– Sprawdź w kieszeni ojcowskiego płaszcza² – odparł chłopiec. – Może znajdzie się tam jeszcze coś na dnie.

Włożyła więc rękę do kieszeni i... co to?! Na samym dnie leżało sześć rupii.

– Więcej niż się spodziewałem! – zaśmiał się chłopak. – Spójrz, mamu – dwie rupie zostaną

² Pewnie chodzi o okrycie zwane *cola*. Najczęściej słowo to oznacza damską bluzkę, którą kobiety zakładają pod sari, ale też rodzaj luźnego płaszcza lub tuniki z długimi rękawami. W dawnym Pendżabie nosili takie okrycia wojownicy Sikhowie oraz święci mężowie (*sadhu*, *baba*).

dla ciebie. Przeżyjesz za nie, póki nie wrócę. Resztę wezmę na drogę i będę wędrował tak długo, aż los się do mnie uśmiechnie.

I opuścił dom, by szukać szczęścia. Szedł przez lasy, szedł przez pola, szedł przez góry, rzeki, aż któregoś dnia ujrzał tygrysicę – lizała łapę i jęczała żałośnie. Już miał rzucić się do ucieczki, bo tygrysica to straszne bestie, gdy ni z tego, ni z owego zwierzę zawołało słabym głosem: – Dobry chłopcze, jeśli wyjmiesz mi ten kolec z łapy, będę ci dozgonnie wdzięczna.

– Ja? Mam to wyciągnąć? – odparł z wahaniem. – A jeśli z bólu uderzysz mnie łapą? Jednym pacnięciem pošlesz mnie do grobu!

– Nie bój się – odpowiedziała tygrysica. – Odwrócę się do drzewa. Gdy zaboli, pacnę w pień, nie w ciebie.

„Raz kozie śmierć” – pomyślał chłopak – „zaryzykuję”. Zbliżył się do zwierzęcia, mocno chwycił w dwa palce kolec i zaczął ciągnąć. Tygrysica leżała cierpliwie, ale ból w końcu stał się nie do zniesienia i wtedy PAC! Z rozmachem grzmotnęła w drzewo, aż pień rozłupał

się na pół. A kolec został w palcach chłopca. Odwróciła się więc do niego i rzekła wdzięcznym głosem: – Chłopcze, chcę ci wynagrodzić twoje poświęcenie. Podaruję ci tę oto czarodziejską szkatułę. Pamiętaj jednak – wolno ci ją otworzyć dopiero wtedy, gdy przejdiesz dziewięć mil.

Chłopiec pokłonił się w podzięcie tygrysicy i wyruszył w dalszą drogę, a pod pachą niósł szkatułę, która miała mu przynieść szczęście. Gdy przeszedł pięć mil, zdało mu się, że dar ciąży mu znacznie bardziej niż na początku. I z każdym krokiem stawał się coraz cięższy, aż w końcu, nim przeszedł dziewięć mil, stracił cierpliwość.

– Ta tygrysica to chyba czarownica i żarty ze mnie sobie stroił! – wykrzyknął. – Nie zniosę tego dłużej. Leż sobie, przekłute pudło! Co tam w tobie siedzi, nie wiem – i wiedzieć nie chcę!

Z tymi słowy rzucił szkatułą o ziemię. Roztrzaskała się z hukiem – i wtedy wyskoczył z niej... maleńki staruszek! Miał zaledwie łokieć wzrostu, lecz brodę aż na półtora łokcia, tak długą, że ciągnęła się za nim po ziemi.

Człowieczek począł tupać i gromić chłopca za to, że tak brutalnie porzucił szkatułę.

– No doprawdy! – rzekł chłopiec, nie mogąc powstrzymać śmiechu na widok dziwacznej postaci. – Jak na takie maleństwo to ważysz niemało, mój panie! A jak cię zwą?

– Brzęczyk! – warknął stworek³.

– Brzęczyk? – powtórzył chłopiec.

– Dla ciebie pan! – odpalił poirytowany krasnal.

– Pan? Brzęczyk Pan – niech będzie.

Karzelek zatupał nogami z oburzenia, ale już się nie sprzeciwiał.

A chłopiec pokręcił głową, patrząc z politowaniem. – Doprawdy! – rzekł. – Jeśli to ty byłeś całym skarbem, który miałem nieść przez dziewięć mil, to cieszę się, że nie dźwigałem cię dalej!

– Niegrzecznie tak mówić – odparł z gniewem Brzęczyk Pan. – Gdybyś doniósł mnie do końca drogi, mogło spotkać cię coś lepszego. Ale to już nieważne. Wystarczająco dobry jestem, by ci służyć – tak rozkazała moja pani.

3 Niewątpliwie był to *bhuta* – w indyjskich bajkach ludowych duch najczęściej przedstawiany jako mały, złośliwy stworek, którego jednak można oswoić lub przechytrzyć.

– Służyć? – zdziwił się chłopiec. – W takim razie życzyłbym sobie, żebyś przyniósł mi obiad, bo jestem potwornie głodny! Masz tu cztery rupie – zapłać za jedzenie.

Ledwie chłopiec wypowiedział te słowa i podał pieniądze, a już Brzęczyk Pan z szumem, bzykiem i świstem, jak wielka pszczoła, pomknął w powietrzu do najbliższego miasta, prosto do sklepu cukiernika. Stał przy ogromnym rondlu do gotowania konfitur, z brodą niemal przyklejoną do podłogi i zawołał donośnym głosem: – Hej, hej! Panie Cukierniku, przynieś mi słodczy, a rychło!

Cukiernik rozejrzał się po sklepie, wyrzał na ulicę, ale nikogo nie zobaczył, bo maleńki Brzęczyk Pan całkiem skrył się za rondlem. Gdy więc nie zareagował, krasnał zawołał jeszcze głośniej: – Hej, hej! Panie Cukierniku, długo mam czekać? Przynieś mi słodczy!

A gdy wciąż nie było odzewu, Brzęczyk Pan wpadł w złość, podbiegł do cukiernika, uszczypnął go w nogę i kopnął w stopę.

– Ty gapo! – krzyknął. – Chcesz mi wmówić, że mnie nie widzisz? Stoję i stoję przy tym osmołonym rondlu!

Cukiernik ukorzył się i pospieszył przynieść najlepsze łakocie. Brzęczyk Pan napełnił nimi wielki wór i rozkazał: – No, dalejże, zawiń wszystko i daj mi do ręki. Zaniosę sam.

– To będzie niemały ciężar, panie – odparł cukiernik z uśmiechem.

– A co ci do tego? – burknął Brzęczyk Pan. – Rób, co ci każe, a oto twoje pieniądze.

Zabrzączał rupiami w kieszeni, a cukiernik posłusznie zawinął słodczyce w ogromny tobolek i położył go na wyciągniętą dłoń karzełka. Spodziewał się, że maleństwo zniknie pod ciężarem, lecz nie – BAM! BZYYYK! BUM! – z szumem i świstem Brzęczyk Pan wystrzelił w powietrze... a pieniądze wciąż miał w kieszeni!

Wkrótce wylądował przy sklepie młynarza i, chowając się za koszem z mąką, zawołał donośnym głosem: – Hej, hej! Panie Młynarzu, dawaj mi tu mąki!

Młynarz rozejrzał się dookoła, wyjrzał przez okno, zajrzał na ulicę – ale nie zobaczył nikogo. Wtedy stworek, któremu broda ciągnęła się po ziemi, krzyknął jeszcze głośniejszym głosem: – Hej, hej! Panie Młynarzu, no gdzie ta mąka?

Kiedy i tym razem nie otrzymał odpowiedzi, wpadł w furję, podbiegł do zdeorientowanego młynarza, ugryzł go w nogę, uszczypnął i kopnął, wrzeszcząc: – Bezczelny parobku! Udajesz, że mnie nie widzisz? Przecież stałem tuż obok, za koszem!

Młynarz zaczął się pokornie tłumaczyć, przepraszać za gapiostwo i zapytał, ile mąki życzy sobie osobliwy klient.

– Dwa wory – odparł Brzęczyk Pan bez wahania – i ani szczypty mniej. Zwiąż mi je razem, wezmę ze sobą.

– Wasza Miłość przybywa zapewne wozem lub ze zwierzęciem jucznym? – spytał młynarz z uprzejmym uśmiechem. – Dwa wory mąki to ciężar nie lada.

– A cóż cię to obchodzi?! – wrzasnął Brzęczyk Pan, tupiąc z oburzeniem. – Czy nie wystarczy, że zapłacę?

Po czym znów zabrzączał monetami w kieszeni. Młynarz, nie chcąc się narażać, zawinął mąkę w ogromny worek i podał go krasnalowi, przekonany, że rozgniecie go jego ciężar. Ale nie – Brzęczyk Pan z szumem i trzaskiem BAM!

BZYYYYK! BUM! wzbił się w powietrze, wciąż z czterema rupiami w kieszeni.

Syn rycerza właśnie zaczął rozmyślać, gdzie też podział się jego osobliwy sługa, gdy nagle, z głośnym bzykiem, mały człowieczek wylądował u jego boku. Oblany potem, jakby wracał z długiej podróży, rzekł z powagą: – Mam nadzieję, że przyniosłem wystarczająco dużo, choć wy, mężczyźni, macie straszne apetyty!

– Więcej niż wystarczająco – zaśmiał się chłopak, patrząc na ogromne pakunki.

Wtedy Brzęczyk Pan upiekł smakowite placki z kalafio⁴ na blasze, a syn rycerza zjadł trzy i garść słodczy. Resztę pochłonał karzełek, mrucząc przy każdym kęsie: – Ech, wy, mężczyźni... co za apetyt... co za straszliwy apetyt...

Po uczcie chłopiec i jego wierny sługa ruszyli w dalszą drogę, aż dotarli do królewskiego miasta. Tam mieszkała księżniczka o imieniu Różyczka – tak piękna, delikatna i lekka, że ważyła zaledwie

4 W całych Indiach rozpowszechnione są placki zwane *paratha* – z mąki niezakwaszanej, smażone na klarowanym maśle (*ghi*) lub oleju. Nadziewa się je np. ziemniakami, kalafio⁴ lub serem i przyprawami – jest to częste śniadanie w Pendżabie.

tyle, co pięć róż. Co rano usadzano ją na szalce złotej wagi i zawsze, gdy na drugą szalkę dokładano piątą różę, szalka z księżniczką przesuwiała się w górę – ani wcześniej, ani później. Gdy syn rycerza przypadkiem ujrzał Różyczkę, zakochał się w niej bez pamięci. Przestał jeść, przestał spać i całymi dniami powtarzał tylko: – O, najdroższy, o, łaskawy Brzęczyku Pani! Zanieś mnie do księżniczki Różyczki – muszę ją zobaczyć i porozmawiać z nią!

– Zanieść cię? – prychnął krasnal z pogardą. – Też pomysł! Przecież jesteś dziesięć razy większy ode mnie! To ty raczej powinieneś nosić mnie!

Ale kiedy chłopak błagał i jęczał, bladł i chudł z miłości, serce Brzęczyka Pana zmiękło. Kazał mu usiąść na swej dłoni, a potem – BUM! BZYK! BRZĘK! – pomknął w powietrze i w jednej chwili znaleźli się w pałacu.

Była noc, a księżniczka spała. Obudził ją jednak ten niecodzienny hałas, a gdy ujrzała przy łóżku młodzieńca, przełękła się i zaczęła krzyczeć. Lecz chłopak, uniżenie grzeczny, najpiękniejszymi słowami poprosił ją, by się nie bała. I już po chwili zapomnieli o całym świecie,

pograżając się – w rozmowie o wszystkim, co piękne i przyjemne i coraz głębiej w swoich oczach. Brzęczyk Pan zaś dzielnie stał przy drzwiach na warcie. Dla przyzwoitości położył obok cegłę, by wyglądało, że się za nią chowa i nie podsłuchuje.

Gdy świt już jaśniał na horyzoncie, a rozmowa się przeciągała, młodzieniec i księżniczka zmęczeni, zasnęli. Wtedy Brzęczyk Pan, wierny sługa, pomyślał: „Co tu począć? Jeśli mój pan zostanie w komnacie i ktoś go znajdzie, zabiją go na miejscu. Ale jeśli go obudzę, będzie się złościł na mnie...”.

Nie tracąc czasu, wsunął dłoń pod łożę i – BZYK! BUM! – wyniósł je całe za miasto, do wielkiego ogrodu. Po czym znalazł na nie dogodne miejsce w cieniu największego figowca⁵, wyrwał drugie drzewo, niemal równie duże, i zarzucił je sobie na ramię jak halabardę. I zaczął maszerować w tę i z powrotem, strzegąc śpiącej pary.

5 Figowiec, hindi: *pipal*, łac. *Ficus religiosa* – święte drzewo w Indiach i wielu krajach Azji Południowej.



Wkrótce całe miasto zawrzało – zniknięcie księżniczki Różyczki wywołało popłoch i przeobrażenie. Wszyscy – od najwyższych urzędników po zwykłych kupców, od dworzan po ulicznych handlarzy – ruszyli na poszukiwania. W końcu na skraj miasta dotarł jednooki naczelnik⁶.

– Czego tu szukasz? – zawołał dzielny Brzęczyk Pan, wymachując wyrwanym drzewem niczym buławą.

Naczelnik, który przez swoje jedno oko widział tylko splątane gałęzie, odpowiedział śmiało: – Przyszedłem po księżniczkę Różyczkę!

– Różyczkę to ja ci zaraz dam! – wrzasnął Brzęczyk Pan. – Wynoś się z mojego ogrodu!

I tak zdziesiął konia naczelnika drzewem, że biedne zwierzę poniosło go, o mało co nie zrzucając z siodła.

Naczelnik popędził czym prędzej do pałacu i oznajmił królowi: – Wasza królewska mość! Jestem przekonany, że księżniczka znajduje się

6 Chodzi zapewne o *kotwala* – w Indiach od czasów średniowiecznych aż kolonialnych naczelnika miasta lub dzielnicę odpowiedzialnego za porządek i przestrzeganie prawa. W baśniach często przedstawiany jest jako postać niegodziwa – podkreślane są np. jego fizyczne defekty, jak brak jednego oka.

w ogrodzie nieopodal miasta. Jest tam jakieś drzewo, które samo bije – straszliwa rzecz!

Król, przerażony, zebrał wszystkich rycerzy, gwardię, konnych i pieszych, i ruszył z całą tą armią do wspomnianego ogrodu. Lecz Brzęczyk Pan, dzielny jak stu wojów, stanął im naprzeciw z jednym tylko drzewem w rękę – i rozgromił ich co do jednego. Połowa padła na miejscu, a reszta salwowała się ucieczką.

Hałas bitwy zbudził wreszcie księżniczkę Różyczkę i syna rycerza. Spojrzeli na siebie i już wiedzieli – nie potrafią bez siebie żyć. Postanowili uciec razem, daleko od pałacu, miasta i całego królestwa.

Gdy tylko ucichł zgiełk bitwy, troje wędrowców – księżniczka, chłopak i Brzęczyk Pan – opuścili ogród i ruszyli w świat.

Chłopiec, szczęśliwy, że zdobył serce tak pięknej istoty, rzekł: – Teraz już niczego mi nie trzeba. Znalazłem moje szczęście! Nie będę cię więcej fatygował, Brzęczyku Panie – możesz wracać do swojej pani.

– Phi! – prychnął Brzęczyk Pan w odpowiedzi.
– Młodzi zawsze sądzą, że wszystko, co się miało

wydarzyć, już się wydarzyło. Ale niech ci będzie. Jedną mam tylko prośbę, nim się rozstaniemy: oto włos z mojej brody. Weź go. A gdybyś kiedykolwiek znalazł się w potrzebie, wrzucić go w ogień – przybędę natychmiast.

Brzęczyk Pan ledwo wypowiedział te słowa, a już BAM! BZYYYK! BUM! zniknął w przestworzach.

Od tej pory młodzieniec i księżniczka Różyczka żyli razem szczęśliwie, podróżowali z miejsca na miejsce, aż w końcu zabłądzili w wielkim lesie. Błąkali się długo, bez jedzenia, coraz słabsi i zrozpaczeni. Wtem napotkali bramina⁷, który, wysłuchawszy ich opowieści, powiedział: – Ach, biedne dzieci! Chodźcie ze mną do mego domu – dam wam coś do zjedzenia.

Ale nie był to żaden bramin, lecz krwiożerczy demon⁸, który tylko czekał na okazję, by pożreć

7 Bramin – członek najwyższej warny (kasty) w hinduizmie, tradycyjnie pełniący rolę kapłana, nauczyciela i strażnika wiedzy religijnej.

8 Demon tu to *ghul* – istota z mitologii arabskiej i perskiej, demon lub upiór, który pożera ludzkie ciała, zwłaszcza ciała zmarłych. Mieszka na pustyni lub na cmentarzu, gdzie poluje na zbłąkanych podróżnych i rozkopyuje groby. Może przyjmować różne postacie (czasem ludzką, zwłaszcza kobiecą).

młodych ludzi. Nie wiedząc nic o jego prawdziwej naturze, para poszła za nim ochoczo.

Gospodarz był nader uprzejmy i gdy dotarli do jego domu, rzekł: – Proszę, ugotujcie sobie, co chcecie – ja nie mam kucharza. Oto klucze – możecie zajrzeć do wszystkich szafek, prócz tej, którą otwiera złoty kluczyk. A ja pójdę nazbierać drewna na ogień.

Księżniczka Różyczka zabrała się do kucharzenia, a chłopak jął przeglądać szafki. W jednej znalazł klejnoty, w innej drogocenne stroje, w jeszcze innej – worki pełne złota i srebra. Wreszcie ciekawość zwyciężyła rozsądek: chłopiec, zignorowawszy zakaz, otworzył również szafkę zamkniętą na złoty klucz.

I oto – jego oczom ukazały się ludzkie czaszki! Czysto obgryzione, wypolerowane, lśniące niczym porcelana. Przerażony przywołał księżniczkę i wyszeptał: – Jesteśmy zgubieni! To nie żaden bramin, lecz demon!

W tej właśnie chwili usłyszeli, że potwór wraca. Księżniczka, która miała w sobie więcej odwagi niż niejeden rycerz, szybko wrzuciła włos z brody Brzęczyka Pana do ognia. I oto

– BZYYYK! BUM! BRZĘK! – w powietrzu z oddali zaczął narastać znajomy dźwięk. I gdy demon, z oczami pałającymi żądzą krwi i z ostrymi jak igły zębiskami, przekraczał próg, w powietrzu huknęło BUM! BZYYYK! BUM! i Brzęczyk Pan już tu był, gotów do walki.

Potwór zadrżał. Dobrze wiedział, z kim ma do czynienia. Zmienił więc natychmiast postać – zamienił się w potok deszczu spływający z nieba strugami, by utopić przeciwnika. Ale Brzęczyk Pan w jednej chwili przeistoczył się w burzowy wichur i wepchnął deszcz z powrotem w chmury.

Demon, widząc, że nie wygra siłą, zamienił się w gołębia i pomknął w przestworza. A Brzęczyk Pan przybrał postać jastrzębia i pognął za nim, skrzydło w skrzydło, cień za cieniem. Demon zdołał jeszcze raz umknąć – tym razem zmienił się w różę i spadł wprost na kolana samego króla Indry⁹, który siedział na niebiańskim tronie zasłuchany w śpiewy niebiańskich tancerek.

9 Indra – w mitologii indyjskiej król bogów, bóg nieba, burzy i deszczu, a także wojownik i obrońca porządku kosmicznego.

Brzęczyk Pan, nie tracąc ani chwili, przemienił się w starego muzyka, podszedł do grajka z sitarem¹⁰ i rzekł: – Bracie, jesteś już zmęczony – pozwól, że ja zagram.

I zaczął grać. Trącał struny tak cudownie, a śpiewał z tak przejmującą słodyczą, że sam król Indra zapytał: – Co mam ci ofiarować w nagrodę? Proś o cokolwiek – a będzie twoje.

– Proszę jedynie o tę różę, która spoczywa na kolanach Waszej Wysokości – odparł karzełek i się pokłonił.

– Wolałbym, byś prosił o coś większego lub mniejszego – rzekł król. – To tylko róża, która spadła z nieba... Ale skoro takie masz życzenie – róża jest twoja.

I rzucił ją Brzęczykowi Panu. Lecz gdy ten wyciągnął po nią rękę, płatki róży opadły i spłynęły na ziemię niczym kolorowy deszcz. Brzęczyk Pan rzucił się za nimi i zaczął zbierać jeden po drugim, bo wiedział, że tylko wtedy

10 Sitar – tradycyjny indyjski instrument strunowy podobny do gitary, na którym gra się palcami i metalowym plektronem. Ma długi gryf, zamknięte pudło rezonansowe i wiele strun; wydaje dźwięki o bogatym, metalicznym, rezonującym brzmieniu.

pokona demona, gdy pochwyci wszystkie płatki róży, w którą potwór się zamienił. I już-już miał wszystkie – prócz jednego, który nagle stał się myszą i chciał czmychnąć. Wtedy Brzęczyk Pan z szybkością błyskawicy przemienił się w kota i – cap! – połknął mysz w całości!

Księżniczka Różyczka i syn rycerza, przeobrażeni, skuleni w kącie chaty demona, czekali na wynik walki. Aż tu nagle – BUM! BZYYYK! BAM! – Brzęczyk Pan wpadł do środka, zwycięski, otarł czoło i rzekł: – Lepiej będzie, jeśli wrócicie do domu. Sami nie umiecie o siebie zadbać.

Po czym pochwycił wszystkie klejnoty, złoto i kosztowności w jedną rękę, księżniczkę i chłopca – w drugą, i z hukiem pomknął w powietrze.

Wkrótce znaleźli się z powrotem w ich rodzinnym domu, gdzie stara matka przyjęła ich łzami radości. I wtedy, z ostatnim, najgłośniejszym w całej baśni BUM! BZYYYK! BRZĘK! Brzęczyk Pan zniknął bez śladu. Nie czekał na podziękowania, nie żądał chwały.

I już nikt nigdy go nie widział, ani o nim nie słyszał.

Chłopiec zaś – już nie chłopiec, lecz młodzieniec z księżniczką Różyczką u boku – żył długo i szczęśliwie.

Wesele pana Szczura

Pewnego dnia lunął straszliwy deszcz. Pan Szczur zupełnie się go nie spodziewał i, zaskoczony, zaczął się rozglądać za jakimkolwiek schronieniem. Nic nie wypatrzył, ale od czego pomysłu i szczurzy spryt! Zaczął szybko kopać norkę w ziemi. Rył coraz głębiej, ale ziemią wciąż była wilgotna, a na zewnątrz deszcz coraz mocniej chlupał w kałużach. I nagle natrafił na piękny korzeń. „Idealny na opał, zabiorę go do domu” – pomyślał pan Szczur i odłożył drewno starannie na bok, bo szczury to stworzenia oszczędne. Gdy deszcz ustał, ruszył w drogę z korzeniem w pyszczku. Idąc ostrożnie między kałużami, zobaczył biednego człowieka, który

na próżno próbował rozpalić ogień. Wokół stały dzieci i płakały żałośnie.

– Tam do licha! – zawołał pan Szczur, który był miękkiego serca i ciekawski. – Co to za hałas! Co się dzieje?

– Dzieci płaczą z głodu – odparł mężczyzna.
– Nie jadły śniadania, bo drewno jest mokre i ogień nie chce się palić, nie mogę upiec im placków.

– Jeśli to całe twoje zmartwienie, mogę ci pomóc – powiedział życzliwy pan Szczur. – Masz tu suchy korzeń, zaręczam, że porządnie zapłonie.

Biedak, dziękując tysiącrotnie, przyjął dar, rozpalił ogień, zaczął ciasto i podzielił się nim z panem Szczurem.

„Co za szczęściarz ze mnie!” – myślał pan Szczur, dziarsko truchtając z ciastem. „I jaki sprytny! Dobra wymiana – jedzenia na pięć dni za stary kij! Ha, ha! Co to znaczy mieć łeb na karku!”.

Idąc dalej i radując się z fortuny, dotarł do warsztatu garncarza. Majster zostawił swoje narzędzie pracy – koło garncarskie – i starał

się uspokoić troje dzieci, które wrzeszczały wniebogłosy.

– Na litość boską! – zakrył uszy pan Szczur.

– Co za hałas! O co chodzi?

– Głodne są – odparł garncarz zrezygnowany.

– Matka poszła po mąkę na bazar, bo w domu nie ma nic. A ja ani pracować, ani odpocząć nie mogę przez ten raban.

– Hmm, chyba mogę pomóc – odpowiedział zaradny Szczur. – Weź to ciasto, upiecz coś szybko i nakarm dzieciaki.

Garncarz aż rozpływał się w podziękowaniach i z wdzięczności podarował panu Szczurowi ładny gliniany dzbanek. Szczur był zachwycony wymianą, tylko nie mógł go sobie ułożyć na głowie, bo naczynie było dla niego trochę za duże. A jak wiecie, w Indiach dzbany i misy nosi się na głowach. Po długich staraniach udało mu i choć dzbanek zsuwał mu się na nasek, utrzymał równowagę. Ruszył ostrożnie dalej z ogonem przerzuconym przez ramię, żeby się o niego nie potknąć. Dzbanek brzdękał: „brzdęk-brzdęk, brzdęk-brzdęk”, a pan Szczur, zadowolony z siebie, znów sobie pomrukiwał:

„Ależ mam szczęście! I rozum też! Jestem nie-zrównany w targowaniu się!”.

I tak idąc, napotkał pasterzy pilnujących bydła. Jeden doił bawolicę, ale nie miał wiadra, więc mleko spływało do... butów.

– Faj! Obrzydliwość! – zawołał czyścioszek pan Szczur. – Co za zwyczaj! Czemu nie doisz do wiadra?

– Bo nie mam – burknął pasterz, nie bardzo rozumiejąc, czemu pan Szczur się wtrąca.

– Skoro tak, to weź ode mnie dzbanek. Nie mogę patrzeć na taki brud!

Pasterz z chęcią wziął naczynie i napełnił je po brzegi. Potem zwrócił się do pana Szczura: – Masz, mały, napij się mleka.

Pan Szczur jednak, choć był uprzejmy, był też sprytny. – O nie, mój drogi – rzekł. – Jak niby miałbym wypić tyle mleka naraz, żeby wyrównać wartość dzbanka? Nie jestem taki głupi. Oczekuję uczciwej wymiany – daj mi bawolicę!

– Co?! – wybuchnął pasterz. – Bawolica za dzbanek?! I co ty niby z nią zrobisz? Dzbanek ledwo dźwigałeś!

Pan Szczur wyprostował się dumnie – nie znosił uwag o swoim rozmiarze. – To moja sprawa – odpowiedział wyniośle. – A twoja – oddać mi bawolicę.

Dla zabawy i żeby mieć z czego się pośmiać, pasterze uwiązali postronek z bawolicą do ogona pana Szczura.

– Hej, to zły pomysł! – zakrzyknął pan Szczur. – Jak pociągnie, to mi ogon oderwie! Zawiązcie wokół szyi!

Jak chciał, tak też zrobili i śmiali się do rozpuku. Pan Szczur zaś pożegnał się uprzejmie i ruszył do domu, ciągnąc nagrodę. A raczej: ciągnąc linę, bo gdy tylko się naprężyła, bawolica – zajęta pasieniem się – ani drgnęła. Szła sobie od jednej kępy trawy do drugiej, nie zważając na postronek, a pan Szczur musiał za nią biegać, ciągnięty za szyję.

Był zbyt dumny, by przyznać się do błędu, pomachał więc pasterzom i zawołał: – Żegnam, mili ludzie! Idę do domu tędy właśnie – droga może i dłuższa, ale za to w cieniu.

Pasterze śmiali się do łez, pan Szczur zaś udawał, że kroczył dalej z hardą miną, choć

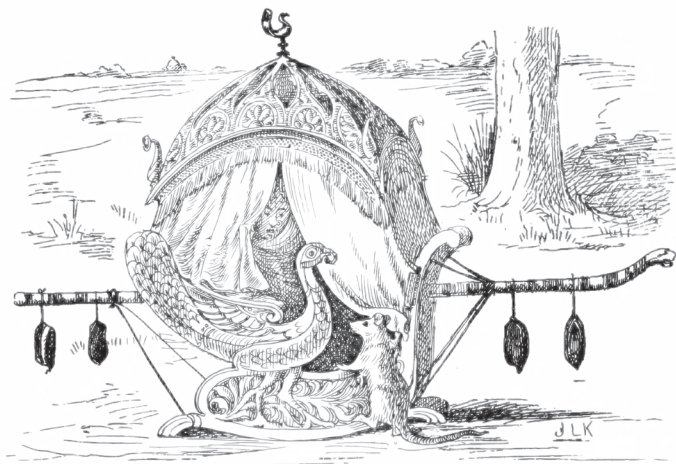
był ciągnany przez bawolicę tam i siam. Ale nawet przed sobą nie przyznawał się do tego. „Skoro mam już to zwierzę, to muszę się nim zająć” – tłumaczył sam sobie. „Bawolica powinna się najeść, jeśli ma dawać mleko, niech więc sobie chodzi, gdzie chce, ja mam czas”.

I tak cały dzień chodził za bawolicą, udając pana sytuacji. Pod wieczór był tak zmęczony, że z ulgą odetchnął, gdy wreszcie zwierzę położyło się pod drzewem i zaczęło przeżuwać.

Wtem nadciągnął orszak weselny. Pan młody z towarzyszami już poszedł do następnej wioski, a lektyka¹¹ z panną młodą została z tyłu. Niosący ją służący – lenie – zobaczyli cień drzewa, postavili lektykę i wzięli się za gotowanie jedzenia.

– Co za skąpstwo! – mruknął jeden. – Niby wielkie wesele, a dla nas mają tylko kleik ryżowy, bez mięsa, bez przypraw! Aż by się chciało wrzucić pannę młodą do rowu!

11 W Indiach do noszenia kobiet, szczególnie z wyższych kast lub władczyń, w trakcie ważnych uroczystości, np. do ślubu, używano tradycyjnie lektyk zwanych *palki*. Były to zabudowane budki z drążkami, często bogato zdobione, noszone na ramionach przez kilku tragarzy.



– Skandal! – obruszył się pan Szczur, widząc okazję. – Zgadzam się z wami – jeśli chcecie, możecie zabić moją bawolicę i ją zjeść.

– Twoja bawolica?! – zaśmiali się. – Co za bzdura! Szczur z bawolicą?

– Może to niezbyt częsty widok, ale zobaczcie sami – prowadzę ją na postronku.

– Nam to już bez różnicy – skwitował największy i najgłodniejszy weselnik. – Twoja czy nie twoja, mięso to mięso.

Zabili więc bawolicę, ugotowali z ryżem i zjedli ją ze smakiem, a resztki podsunęli panu Szczurowi.

– Proszę, mały szczurku, to dla ciebie!

– Coś takiego! – pan Szczur nie krył oburzenia. – Nie chcę waszego kleiku! Myślicie, że oddałem moją najlepszą bawolicę – która dawała litry mleka, którą cały dzień pasłem – za miskę ryżu?! Nie! Za korzeń dostałem ciasto, za ciasto dzbanek, za dzbanek bawolicę, a za bawolicę chcę pannę młodą. I nic innego!

Weselnicy przestraszyli się tak stanowczego żądania i uznali, że najlepiej będzie brać nogi za pas. Porzucili pannę młodą w lektyce i uciekli. Pan Szczur zaś podszedł do lektyki, odsunął zasłonę i najgrzeczniej poprosił pannę młodą, by wysiadła. A ona nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać. Pomyślała jednak: „A co mi tam! Lepsze towarzystwo pana Szczura niż samotność w dżicy”. I poszła za nim.

Gdy dotarli do jego norki, pan Szczur szarmancko się pokłonił i ogłosił: – Witaj, pani, w moich skromnych progach! Proszę, wejdź! Pozwól, że wskażę ci drogę, bo trochę tu ciemno.

Wbiegł pierwszy, ale panna ni drgnęła. Zniecierpliwiony zawołał: – No i co? Nie wchodzisz? Nie wypada trzymać męża w niepewności!

– Mój drogi – zaśmiała się dziewczyna – nie zmieszczę się w tej dziurce!

Szczur chrząknął. – Cóż, masz rację. Jesteś nieco... przerośnięta. Muszę ci chyba wybudować szafas. A dziś możesz spać pod tą śliwą.

– Ale ja jestem głodna! – naburmuszyła się panna.

– Wszyscy dziś głodni! – rzekł pan Szczur z przekąsem. – Ale zaraz ci coś przyniosę.

Wbiegł do nory i wrócił z kłosem prosa i garścią suchego grochu.

– Proszę bardzo! – powiedział z dumą. – Prawdziwa ucztą!

– Ja tego nie zjem – panna popatrzyła z niesmakiem. – Chcę kleik ryżowy, ciasteczka maślane, jajko gotowane w syropie cukrowym¹² i dużo cukierków! Inaczej umrę z głodu!

– O rety! – wściekł się pan Szczur. – Co za kłopot z tą oblubienicą! – Rozejrzał się wokoło

12 Panna młoda życzy sobie, by jej podano smakołyki popularne w całych Indiach, także w Pendżabie: *kandzi*, czyli papkę z ryżu gotowanego na wodzie (czasem z dodatkiem mleka lub przypraw); *nankhatai* – kruche maślane ciasteczka; *mitha anda* – jajko gotowane w syropie cukrowym lub karmelizowane.

i dostrzegł śliwę na podwórku. – Jedz śliwki!
– rozkazał kategorycznie.

– Nie mogę! Są niedojrzałe i rosną za wysoko.

– Nie sprzeciwiaj mi się! – zawołał. – Na dziś muszą wystarczyć. Jutro narwiesz cały koszyk, pójdziesz na targ do miasta, sprzedasz i wtedy kupisz sobie słodycze!

Nazajutrz pan Szczur dał się udobruchać. Sam wspiął się na śliwę i podgryzał ogonki owoców, a one spadały do welonu panny młodej. Zebrane, choć niedojrzałe, zanieśli do miasta. A ona wędrowała ulicami, wołając:

Zieeeeelone śliwki – komu, komu?

Mąż mój pan Szczur pilnuje domu.

Ja zamiast pysznić się w pałacu,

Śliwki sprzedaję dziś na placu.

Zieeeeelone śliwki – komu, komu?

Gdy przechodziła koło pałacu, jej matka, królowa, usłyszała znajomy głos. Wybiegła, rozpoznała córkę – jakaż była radość! Wszyscy myśleli, że dziewczynę pożarły dzikie bestie. Wyprawiono wielką ucztę i gdy tak się radowali,

pan Szczur – zaniepokojony długą nieobecnością oblubienicy – dotarł do pałacu. Tłukł kijem w drzwi i wołał: – Oddajcie mi żonę! Żona moja z uczciwego targu! Za korzeń dostałem chleb, za chleb dzbanek, za dzbanek bawolicę, za bawolicę pannę młodą – oddajcie mi żonę!

– Drogi zięciu! – powiedziała przebiegła królowa zza drzwi. – Kto by ci ją odbierał? Cieszymy się, że jesteś! Czekamy tylko, aż rozłożą dywany i przyjmimy cię jak należy.

Pan Szczur się uspokoił i czekał cierpliwie, gdy tymczasem królowa kazała wnieść do komnaty coś, czym ogrzewano się na dworze w chłodne dni: perski stolik *korsi*. Ma on wycięty otwór w środku, pod stolikiem metalowe naczynie z rozżarzonymi węglami, a wszystko przykrywa haftowanym pledem *lahaf*. Potem przywitała pana Szczura wylewnie i zaprosiła do środka.

– O, ja sprytny! – mruczał, wchodząc. – Zięć królowej! Co sąsiedzi powiedzą?

Przysiadł przy brzegu stolik, ale było mu za gorąco. Zaczął się wiercić: – Matko, ależ u was skwar! Wszystko parzy!

– Siedzisz osłonięty od wiatru, mój synu – odpowiedziała królowa. – Usiądź bliżej środka, to cię przewieje.

Ale nie przewiało – stolik się nagrzał tak, że pan Szczur aż się przypiekl. Udało mu się uciec, ale ogon, pół futerka i kawał skóry zostawił nadpalone na stoliku. Wrzeszczał z bólu, przysięgając: – Nigdy, nigdy więcej nie będę się targował!